

Rishikesh znaczy tyle, co włosy rishich. Rishimi w mitologii indyjskiej określa się mędrców o nadludzkich, a nawet nadboskich mocach. Wiele opowieści czyni ich mentalnymi dziećmi boga Brahmy, który, w przeciwieństwie do swoich współbogów z Trimurti, czyli Wisznu i Sziwy, jest bezgranicznie obiektywny. Nikomu nie szkodzi, ani też nikomu nie sprzyja. Jako główny bóg twórcy ceni podobnie swoje dzieła i żadnego z nich nie stawia ponad innymi. Ten sam obiektywizm cechuje również rishich. Są oni w opowiadających o nich eposach i poematach podobni do luster, w których każdy dostrzeże odbicie swoich zalet i wad, odpowiednio zyskując lub tracąc, lecz w istocie nie za sprawą nieporuszonych rishich, lecz siebie samego.



Ta sama zasada dotyczy w zagadkowy sposób całych Indii. Każdy znajdzie w nich to, czego szukał. Łatwo na przykład w tym kraju odnaleźć ludzi niezwykłych, zetknąć się z legendarnymi twórcami całej współczesnej indyjskiej kultury. Wystarczy tylko szczerze chcieć. Równie łatwo natknąć się na oszustów, co zdarza się wielu nadmiernie zapatrzonym w ideę duchowego samorozwoju turystom. W Rishikeshu ujrzałem ich bardzo wielu, jak chyba nigdzie w Indiach. Jedni z nich zdali mi się bardzo sympatyczni, inni zaś całkowicie zanurzeni w świecie iluzji tkanym przez tysiące ofert jogicznej edukacji, a nawet muzycznej. Wiele z owych ofert na milę czuć było plastikową sztuczością, usługowym bublek mającym za zadanie schlebiać ograbianemu bezlitośnie klientowi. Jednakże obok tego wszystkiego musiało kryć się też trochę prawdziwych i cennych rzeczy, gdyż miasto, w którym się znalazłem nie było całkowicie sztuczne. Raczej łączyło dwie skrajności. Z jednej strony „indobiznes” starannie rozwijany przez newage’owy, postmodernistyczny bełkot, z drugiej zaś strony jakąś wiejską arkadię, pełną przyrody i zżytych z nią autochtonów, wykorzystujących napływające wraz z turystyką pieniądze do stworzenia pięknej krainy współgrającej z mitami i filozofiami Kraju Bharatów. Ta kraina w paradoksalny sposób istniała tuż obok zasilającej modę na powierzchowne Indie komercji. Czasem miałem nawet wrażenie, iż oba te sprzeczne obszary zasilają się nawzajem, stanowiąc pewien rodzaj symbiozy.

Nasz ryksiarz chciał nas pozostawić przed bardzo stromym zjazdem, lecz znające już trochę Rishikesh dziewczyny uparły się, aby pojechać dalej, na co nader dobrze opłacony przewoźnik przystał. Znaleźliśmy się na placu, w którego centrum stał pomalowany pomnik Ramy z łukiem, co dobrze pasowało do wciąż jeszcze się zaczynającego Diwali. Ku mojemu zdumieniu odkryłem, iż plac otaczają zadbane budynki, w tym jeszcze bardziej barwna niż pomnik świątynia. W sklepach, obok napojów i drobnych przekąsek, znajdowały się wyroby rzemiosła, różne kobiece ozdoby, posążki bogów itp. Zdziwiła mnie ich jakość i stosunkowo niewielkie ceny. Ten paradoks miał mi

towarzyszyć w Rishikeshu cały czas. Pomimo ogromnego napływu turystów wielu sprzedawców dyktowało uczciwe ceny, tanie też były noclegi. Jedynie rykszarze i kierowcy dżipów dbali o ogólnie indyjskie tradycje, starając się przy tym zrównoważyć nadmierną uczciwość reszty riszikeskiej branży turystycznej.

Na placyku kręciło się jeszcze trochę Hindusów, ale gdy zaczęliśmy schodzić do mostu, zdecydowaną większość przechodniów zaczęli stanowić biali (tak się mówi o nas, choć oczywiście Hindusi też często bywają biali). Jest to dziedzictwo wciąż jeszcze istniejącego na świecie rasizmu, którego Indie były jedną z głównych ofiar (co nie znaczy, iż jaśniejsi Hindusi są całkowicie zaprzyjaźnieni z tymi o czarnej jak węgiel skórze. W jakimś sensie, za sprawą systemu kastowego, który ujmował też zróżnicowanie etniczne i geograficzne, Indie są ojczyzną rasizmu). Widok na Gangę ze stoków prawobrzeżnej części Rishikeshu był imponujący. Rzeka wyrzeźbiła tutaj już całkiem głęboki kanion, zaś miejscowość przykleiła się do jego urwisk. Barwne świątynie, aśramy, hotele wyrastały z bujnie rozwijającej się tutaj przyrody (rzecz rzadka w Uttar Pradesh, gdzie dotychczas byliśmy nie licząc Stanu Delhijskiego). Czasem widać było nagie skały, lecz również zalesione stoki były niezwykle strome, gdyż tropikalna roślinność ma więcej siły aby zarastać niemal pionowe stromizny. Weszliśmy na drugą sławną wiszącą kładkę starannie podczepioną na stalowych linach. Ta położona w dolnej części Rishikeshu była większa, tutaj nie mogły jeździć nawet motory. Przed nami wyrastała wielka świątynia w kształcie pagody mieszczącej w sobie mnóstwo ołtarzy przeróżnych bogów. Było to chyba najważniejsze w Rishikeshu miejsce dla samych Hinduistów, gdyż występuje w dedykowanych im pielgrzymkowych przewodnikach. Nie udało nam się dojść do tego, któremu bóstwu jest ona głównie dedykowana. Obecność dużej ilości turystów dawała pewną przewagę najpopularniejszemu na Zachodzie wisznuizmowi w jego krisznaickiej odmianie, jednocześnie obecność Gangi narzucała w oczywisty sposób obecność jej męża, Sziwy. Jego przedstawień

było w Rishikeshu najwięcej, ale zapewne był niekiedy rozumiany jako bóstwo podrzędne w stosunku do Wisznu (u sziwaitów bywa rzecz jasna odwrotnie). Przypomniała mi się świątynia znajdująca się w głównym krisznaickim miejscu, we Vrindavan, której głównym bóstwem był Sziwa w postaci gopi, pasterki adorującej Krisznę. Poznałem związaną z nią legendę, głoszącą iż Sziwa tak bardzo chciał być w pobliżu Kriszny, iż zmienił się w kobietę. Kobięca natura Sziwy ma też rzecz jasna bardziej popularne w Indiach konotacje. Jedną z nich jest jedność Sziwy z jego szakti, boginią Parwati (Durgą, Kali). Jednocześnie wszyscy znajomi Hindusi, również wisznuiści, zapewniali nas iż przynajmniej Haridwar, miejsce dla nich znacznie istotniejsze od Rishikeshu, zdecydowanie jest ośrodkiem kultu Sziwy jako Sziwy. Słowo „Hari” czyli „Pan” odnosi się bowiem do wszystkich męskich bóstw Indii, jednocześnie zaś najchętniej używają go wajsznawowie, co nie oznacza iż tylko oni.

Jakkolwiek by nie było, wielopiętrowa świątynia nadawała swoistą aurę całemu otoczeniu, a przyczyniały się do tego dzwonki umieszczone przy każdym z setek jej ołtarzy. W Rishikeshu było bardzo jak na Indie cicho, jednocześnie zaś powietrze rozrzedziła już trochę wysokość, co sprawiało iż dźwięk owych dzwonek brzmiał niezwykle tajemniczo i pięknie. Dzwonnikami byli głównie hinduscy pielgrzymi, przechodzący niezbyt gęstym, ale cierpliwym szeregiem przez rampy owej niezwyklej pagody. Na moście musieliśmy przystanąć, nie mogąc oderwać wzroku od przepięknych widoków. I tutaj Ganga była wielka, a my byliśmy kilkadziesiąt metrów nad nią. Rishikeskie gaty wiły się z jednej strony swą nieciągłą linią aż po nagły zakręt rzeki, z drugiej zaś strony widać było głównie coraz bardziej pnące się szczyty i ogromne połączenie niemal wiszącego w powietrzu lasu.

Chiara miała w Rishikeshu hiszpańską przyjaciółkę o imieniu Miramar. Była ona rzemieślniczką, której wyroby zaczęły się nieźle sprzedawać w Tajlandii. Do Rishikeshu wybrała się na

długie wakacje. Miramar poleciła nam aśram, w którym sama zamieszkała. Okazał się on być bardzo pięknym miejscem, gdzie pokoje osadzone były wśród pięknych tarasów, które posiadały nawet wieżyczki widokowe w radżpuckim stylu. Wewnątrz aśramu znajdował się wielki, przytulny, niemal pałacowy dziedziniec. Z jednej strony schodki prowadziły na główny deptak tej części Rishikeshu, z drugiej był prywatny, aśramowy gat nad Gangą. W aśramie znajdowały się co najmniej dwie świątynie – Sziwy nad rzeką i Ramy obok głównego wejścia. Jako, że było Diwali, dbano, aby wszędzie paliły się świece. Wszystkie budynki były barwne i czyste, spora część aśramu pełniła po prostu funkcję zwykłego hotelu (bez typowej dla bardziej regularnych aśramów godziny zamykania bram). Ceny pokoi były bardzo niskie jak na ich standard. Ściany pokryte były w nich wzorzystymi i czystymi tapetami, z nie zardzewiałych kranów płynęła też ciepła woda, łazienki były wyłożone kaflami, okna nie rozbite i czyste. Wpierw chciano nam wynająć najtańsze pokoje w przyziemiu, lecz pachniało w nich stęchlizną. Niedawna powódź z pewnością zatopiła je na co najmniej kilka dni. W końcu zdecydowaliśmy się na pokoje na drugiej kondygnacji tarasów. Wiodły do nich kręcące się niemal surrealistycznie schody, zaś przed nimi znajdował się szczególnie przestrzenny taras z pięknym widokiem na Gangę i wiszący most. Aśram znajdował się tuż przy tym moście i niedaleko świątyni – pagody.

W recepcji zasiadały osoby typowe dla indyjskiego aśramu. Główne skrzypce grał brodaty babaji o bardzo młodych oczach, pomocnikami byli adepci. Wszyscy mówili dobrze po angielsku. Choć aśram oferował całą paletę ajurwedycznych masaży i innych usług związanych ze zdrowiem w ujęciu hinduistycznym, nikt nie narzucał nam oferty aśramu, co było dość nietypowe. To miejsce, podobnie jak cały Rishikesh, wydało mi się fałszywe i prawdziwe zarazem. Po trudnych do życia warunkach indyjskiego interioru poczuliśmy się w tym miłym miejscu nad wyraz rozleniwieni. Każdemu przemknęła przez głowę myśl, żeby dać się porwać tej fali wygodnego spokoju i jak najdłużej nie wracać do chaotycznych ulic Agry, do niedostępnych pociągów,

do pełnych pyłu i brudów pól Uttar Pradesh. Dla mnie ostrzeżeniem była Miramar. Nie chodziło o to, iż była niesympatyczna. Ujrzałem po prostu osobę bardzo prostą, która do szpiku kości przesiąknięta była „mądrościami” na temat leczenia się za pomocą medytacji i bycia zdrowym bardziej (na wszelki wypadek) za pomocą medytacji. Jednocześnie ubrana była dość wyzywająco, zupełnie nie po indyjsku. Chyba wielu ludzi Zachodu traktuje Indie jako swego rodzaju „egzotyczny prysznic duchowy”, który im się należy, bo przecież płacą. Nic nie szkodzi, iż równi im intelektem i zdolnościami Hindusi mogą tylko marzyć o wyprawie do najbliższego dużego miasta, cóż dopiero za granicę... Biorący prysznic uważają, iż cała wiedza Subkontynentu, nie ważne, czy spreparowana dla turystów, czy bardziej rzeczywista, należy im się i już. Nie są w stanie nawet ubrać się jak tutejsi, zrezygnować z obnażania części ciała uważanych przez dzisiejszych Hindusów za ogromnie wyzywające. Nie próbują też dostosować się do indyjskiego stylu prowadzenia rozmowy, do indyjskiego pojęcia uprzejmości. Są sobą i chcą być sobą w tym usługowo – egzotycznie – (para)leczniczym miejscu. Nie są ciekawi prawdziwych Indii, takich jak Delhi, czy choćby położone dalej od Taj Mahalu części Agry (czyli 98% tego miasta). Wymuszają na Subkontynencie swoistą, wysoce kiczowatą Cepelię. Kultura ciągnąca się nieprzerwanie od czasów wedyjskich na ich życzenie przeobraża się w popkulturową galerię usługowo handlową. Miramar była tu jedynie kropelką w tej rzece dziwacznych zjawisk, być może ją też ktoś stworzył dla potrzeb owego dziwaczego zetknięcia się kultur. Nabrałem przekonania, iż w Tajlandii pomagała zaistnieć rzeczom dla podobnej, tajskiej tym razem Cepelii, na które miejscowi nie mieli już pomysłów. Rishikesh, zwłaszcza ta część w której byliśmy, pozostawała w najlepszej takiej perfekcyjną Cepelią, a jednocześnie, czemu do tej pory nie mogę się nadziwić, były w niej też prawdziwe Indie.

Po ulokowaniu się w pokojach udaliśmy się do sławnej dzięki zachodnim dziennikarzom – podróżnikom restauracji „Budda

Bar". Aby do niej dość musieliśmy przejść częścią głównego deptaka. Ku mojemu zdumieniu zauważyłem, iż jest na nim wiele starych domów, co świadczy o tym, iż Rishikesh istniał przed turystami, a nie został dla nich stworzony. Co ciekawe, owe domy, małe rezydencje i aśramy, nie przeobraziły się w hotele, czy w MacDonaldu. Podobnie zapewne jak cały Rishikesh dostosowały się do potrzeb, nie rezygnując jednak całkiem ze swojej pierwotnej natury. Wszystkie, niejako w nagrodę, były zadziwiająco czyste i dobrze odnowione. Sklepy głównego deptaka również oferowały wiele wyrobów rzemiosła, trudno dostępnych w innych miejscach Indii, jeśli wziąć pod uwagę ich cenę i staranność wykonania. Dowiedziałem się w ten sposób, jak to się dzieje, iż sprzedawane w zachodnich sklepach z egzotyką figurki indyjskich bogów bywają wykonane dużo staranniej od tych, jakie można znaleźć po wielu godzinach szukania w samych Indiach. Na głównej uliczce znajdowały się też księgarnie, sklepy z płytami, a także artykuły dla zachodnich turystów, czyli papier toaletowy, alkohole, różne popularne poza Indiami słodycze, a nawet nie używany na Subkontynencie tytoń do zwijania. Jak zwykle zdumiałem się tym, iż papierosy dla turystów potrafią być znacznie tańsze od wypełniających bez reszty rynek indyjski Gold Flake'ów, kosztujących niemal tyle co papierosy w Polsce, czyli bardzo, jak na Indie, drogo.

Budda Bar okazał się uroczym miejscem. Umieszczony na dachu jednego z budynków (poprzedzony na piętrze tak zwaną „niemiecką piekarnią”) pokryty dachem z liści i trzciny, z podobnie ulotnymi stolikami i siedzeniami (były też takie do siedzenia po indyjsku) oferował znakomitą kuchnię z różnych części świata. Prócz doskonałych potraw wiele stolików otwierało się na widoki Rishikeshu i Gangi zapierające dech w piersiach. Nie było tutaj żadnego pośpiechu, niektórzy klienci siedzieli leniwie rozparci i czytali przewodniki turystyczne, albo książki o jodze. Wśród osób oddających się tutaj konsumpcji nie było jednakże żadnych Hindusów, chyba, że czasem zdarzył się jakiś rodzynek zaprzyjaźniony z turystami,

lub wyjątkowo zdolny naciągacz towarzyszący swoim ofiarom przez wiele dni. Niekiedy widać było wchodzących hinduskich turystów (tacy też istnieją!), którzy z przerażeniem na twarzy dokonywali natychmiastowego odwrotu. Nie wyjaśniały tego ceny, które były całkiem przyzwoite. Powodem mógł być duży niedosyt chili i pieprzu w indyjskich potrawach, który nawet nam z Kają doskwierał. Ale skąd mogli o tym wiedzieć indyjscy turyści? Miejsce, podobnie jak cały Rishikesh, zachęcało by w nim zostać i nic nie robić (lub też, jeśli kto woli, oddać się błogości kulinarnej i sjestowej jogi). My zasiedliśmy przy indyjskim, pełnym poduszek stoliku. Zaczęliśmy rozmawiać i z pewnym zdziwieniem stwierdzałem, iż wszystkie możliwe indyjskie tematy urywają się nagle. Gdy byliśmy już z Kają sami, wyjaśniła mi ona ten fenomen. Otóż na stypendium w CIH dostały się w większości osoby nie mające tak naprawdę żadnego pojęcia o Indiach. Jedni z nich uczyli się po prostu języka, inni zaś ulegli modzie na jogę, która z Indiami nie ma nic wspólnego. Większość doznała szoku widząc prawdziwe Indie. W trakcie zajęć, pewnego dnia, ktoś zapytał całą pierwszoroczną grupę o jakiś fakt dotyczący Ramajany. Okazało się, że nikt, poza Kają, nie ma najmniejszego pojęcia czym jest Ramajana. Przerażona nauczycielka zmieniła zatem sedno swej lekcji i próbowała streścić ów najważniejszy dla kultury indyjskiej epos. Ja również poczułem się nieco zaszokowany, gdyż mój mit o międzynarodowej elicie zdolnych młodych ludzi, którzy dostali się na stypendium do Agry rozwiął się jak poranna mgła. Obok osób kompletnie zielonych, było też kilkoro tak zwanych specjalistów, czyli osób zajmujących się tylko językiem. Nie interesowało ich najwyraźniej (i zapewne nie zainteresuje) czemu ów język, w swoich największych zrywach, służy. W przypadku hindi i Ramajany mamy oczywiście przepiękną wersję Tulsidasy, dodam na wszelki wypadek.

W pewnym momencie dołączyła do nas Miramar, prowadząc swego nowego przyjaciela, Fina. Ów Fin poczęstował się od niej papierosem i zaczął go palić tak, jak wielu Hindusów pali haszysz. Jego mina wskazywała na to, że już sama myśl o

narkotyku dokonać może cudu i wirtualnie przeobrazić tytoń w konopie indyjskie. Fin i Miramar zaczęli nam tłumaczyć, iż trwa teraz wspaniały, medytacyjny – jogiczny kurs i w jego trakcie odbywają się też koncerty. Oczywiście nie było im wiadomo czyje, ale – jak wyjaśniali – brzmiało to wszystko bardzo wspaniale, no i instrumenty były bardzo indyjskie. Na głównym deptaku widziałem więcej szkół muzycznych, niż jest ich w Delhi (i w przeciwieństwie do tych prawdziwych, stołecznych, uczących wszystkiego), nie poczułem się zatem zachęcony, lecz mimo to postanowiliśmy skorzystać ze znajomości Rishikeshu prezentowanej przez Hiszpankę i powłóczyć się z nią trochę. Zbliżał się już zmierzch, gdy weszliśmy na deptak. Deptak, czyli zjawisko paranormalne w kraju, gdzie nie ma chodników, a gdy są (tak jak w Delhi) traktowane są jako egzotyczna ozdoba ulicy (to znaczy ludzie i tak chodzą po ulicy, zaś samochody próbują jeździć po chodnikach, chyba że krawężniki są półmetrowej wysokości (najczęściej takie są)). Ten deptak na domiar wszystkiego był czysty. Jedyne karłowate krowy, niższe od człowieka, zostawiały tam swoje odchody. Otaczały go aśramy i ogrody. Czasem zbliżał się do rzeki. Spokojne, nadające się na spacer, miejsce z pięknymi widokami. Prawdziwy indyjski spacer, taki jaki znam, wygląda zupełnie inaczej. Polega on na ciągłym zdobywaniu przestrzeni płynnie przekształcającej się z bazaru w zatłoczoną autostradę. Istotą prawdziwego, indyjskiego spaceru jest czujność i anarchia. Zatrzymać się można wszędzie, lecz nie ma żadnej gwarancji, czy był to dobry pomysł. Liczne psy i małpy bez nóg potwierdzają tę regułę. Na ulico – bazarze rządzi też najmaszywniejszy. Nawet zwykłe osobowe samochody (cóż dopiero ryksza, czy pieszy) przemykają jak myszy pomiędzy pozbawionymi hamulców tirami, mającymi zamiast klaksonów całe sekwencje muzyczne, najczęściej związane z przebojami filmowymi, lub popularnymi religijnymi bhajanami. Oczywiście owe sekwencje nadal brzmią jak klakson, jest to swego rodzaju trąbkowy carillon. Ja tymczasem przechadzałem się. Znikąd nie zbliżały się setki świateł ryksz, motorów, autobusów i tirów (chyba, że ktoś miał

uszkodzone światła). Żaden pojazd nie poruszał się pod prąd! Spotkaliśmy wprawdzie na pocieszenie kilka motorów posuwających się rażno bez świateł, ale była to tylko namiastka bycia pieszym w Indiach. Później dowiedziałem się, iż ów deptak nie był turystyczną anomalią. Tam, gdzie w Indiach jest zbyt stromo, aby wjechać legendarnym samochodem marki Ambassador (a potrafi on więcej, niż niejeden džip, choć potrafi powoli) pojawiają się deptaki. Dlatego w górach one istnieją.

Miejsce, gdzie odbywała się jogiczna konferencja z koncertami znajdowało się tuż obok niższej i większej kładki Rishikeshu. Po drodze minęliśmy mnóstwo tradycyjnie ubranych ludzi, wyglądających jak przybysze z kart Mahabharaty i odprawiających jakieś wedyjskie ofiary, czy to w aśramach, czy to na własną rękę. Tylko bardzo nieliczni oddawali się hazardowi, lub popalali haszysz. Niewielu też kapłanów zachęcało nas do finansowego uczestnictwa w swoich obrzędach. Była to zupełna odwrotność tego, co spotkało Kaję w Haridwarze, gdzie była w święto, jednakże znacznie mniej ważne od Diwali. Na przechodzącego przez Haridwar przybysza rzucali się wpierw młodzi pomocnicy kapłanów, niosąc arti i malując tikę na czole. Usługa, przed którą nie można się było uchylić, kosztowała ich zdaniem 100 rupii (w świątyniach większość pielgrzymów zostawia zazwyczaj metalowe monетки jedno – i dwu – rupiowe, nie sypie ich przy tym garściami). Temu, kto mniej, lub bardziej obronił się przed młodymi sprzedawcami pomyślnych modlitw, wypadało się zmierzyć z dojrzałymi, w pełni sił będącymi kapłanami. Ci machali ręką, żądając, aby do nich podejść. Po czym mamrotali pospiesznie jakąś skróconą mantrę i wkładając na rękę ćwierć łyżeczki cukru (a nie samosy, czy pyszne słodycze) w ramach poofiarniej pudży wypowiadali jedyną kwestię dostępną dla nich po angielsku – „daj co łaska, ale niech będzie to co najmniej 100 rupii”. Jak mówiła mi Kaja, Jorge odmówił jakiegokolwiek współpracy z kapłanami i został niemal zlinczowany przez tłum rozłoszczonych specjalistów od indyjskiego sacrum. W końcu oni już zapewnili mu pomyślność

(robili to zbyt szybko, aby się z tego wykręcić), a on, jak złodziej, ucieka bez opłacenia usługi. Nie chcę oczywiście obrażać tymi historiami Hindusów, których bardzo lubię. Istnieje w ich kraju po prostu mniejszość pozbawionych jakiegokolwiek własnej godności cwaniaków, którzy znakomicie wiedzą, gdzie i kiedy rozpoczynać swoje łowy. Pochodzą oni ze wszystkich szczebli indyjskiego społeczeństwa, nie brakuje zatem w tej branży braminów, którym teoretycznie najmniej wypada robić takie rzeczy.

Wróćmy jednak do głównego wątku. Otóż w miejscu konferencji zobaczyliśmy tłumnie zgromadzonych białych i kilku Hindusów powoli przygotowujących koncert mający być przede wszystkim wspólnym śpiewaniem mantr. Ale mieli się zjawić jacyś muzycy, wszyscy obdarzeni zaszczytnym tytułem „pandit”, choć kompletnie nieobecni w prawdziwym życiu koncertowym Indii. Pandit oznacza w pełni wykształconego mistrza muzyki, ale w bardziej ogólnym znaczeniu tego słowa tego, kto zna na pamięć potrzebne do dokonywania ofiar, sanskryckie hymny. Być może chodziło zatem o panditów w tym drugim znaczeniu, które to jest znacznie łatwiej osiągalne od tego pierwszego (chyba, że ktoś rzeczywiście zna sanskryt, co nie jest normą). Organizatorzy zachęcili nas abyśmy usiedli w tłumie siedzących po turecku adeptów. Jako, że miałem wrażenie, iż szybko nic się nie zdarzy, postanowiliśmy z Kają iść dalej, do drugiej części lewobrzeżnego Rishikeshu. Zaraz obok jogicznej szkoły muzycznej znajdowała się druga, większa kładka, tonąc teraz w mroku. Weszliśmy na nią na chwilę, lecz wiał bardzo zimny wiatr, zaś spora grupa osób wraz z motorami i krowami spychała nas z powrotem na nasz brzeg. Kaja chciała mi pokazać sklep muzyczny, który był nieopodal, tam gdzie ścieżka wchodziła w drogę, bardziej już chaotyczną niż w naszej części, choć nadal nacechowaną riszikeskim dualizmem. Ujrzelśmy dużo bardziej okazałe gaty, nad którymi wznosiły się przeróżne świątynie i pomniki. Nie było jednak w Rishikeshu litego pasa nadrzecznej zabudowy, pełnej arkad i przejść, jaki można spotkać w Waranasi, albo we Vrindavan. Nad nadrzeczными miejscami do

odprawiania obrzędów biegła główna droga, gęściej niż w górnym Rishikeshu pokryta sklepami i pełna również Hindusów. Wszyscy byli podnieceni drugim dniem Diwali. Sklep muzyczny okazał się całkiem zasobny w nagrania muzyki klasycznej, był nawet kilkunastopłytkowy dział poświęcony dhрупadowi. Co ciekawe, aby wejść do środka, należało zdjąć buty. Jedynie pierwsza sala, z muzyką filmową, zezwalała na użytkowanie obuwia.

Gdy wróciliśmy do jogicznej akademii muzycznej dla białych, w mieście było coraz głośniejsze z uwagi na obchody Diwali. Na dziedzińcu instytucji, w otoczeniu ściśniętych jak sardynki zachodnich adeptów grał na tabli jakiś pandit, zaś druga osoba (też zapewne pandit) śpiewała bhajany. Prawie ich nie było słychać, ale jeśli mogę polegać na zdolności mojego umysłu do rekonstrukcji słabych źródeł dźwięku, obydwaj panditowie zyskali swoje tytuły nie na drodze sztuki dźwięku.

Poszliśmy zatem zapalić świece nad Gangę. Urwiste stoki Rishikeshu tonęły już w czerni nocy, my zaś szliśmy po nadbrzeżnej plaży, pełnej drobnego, miękkiego piasku, omijając przy tym potężne głazy naniesione przez nurt. Na największych z nich zbudowano małe świątynie. Poza tym było pusto i cicho, czasem tylko jakaś gromadka dzikich psów zakłócała nasz spokój. Miło było siedzieć nad wodami tej sławnej rzeki i patrzeć na gwiazdy, bardzo wyraziste w górskim powietrzu. Okazało się jednak, że wiatr nie pozwala zapalić lampek, postanowiliśmy zatem rozpać je w hotelu.

Nazajutrz postanowiliśmy dokładniej poznać miasto. Jak się okazało, główny, najbardziej ludny Rishikesh rozciąga się na prawym brzegu rzeki, jeszcze poniżej lewobrzeżnej części z drugą, większą kładką. Tam było już bardziej chaotycznie i ruchliwie. Jedną z przyczyn była niedostępność lewobrzeżnej części dla samochodów. Jeździły po niej jedynie motory i dżipy występujące tutaj w funkcji riksz i znacznie (przynajmniej dla turystów) od nich droższe. W środkowej części mogłem podziwiać dużą ilość starych domów, z których część miała ponad sto lat. Cechowało je charakterystyczne użycie kamiennych, ażurowych

balustrad i łuków nawiązujących do starszej jeszcze architektury Radżputów. Była to w pełnym sensie tego słowa architektura neostylowa, wpisująca się zatem w trendy popularne w tym samym okresie również w Europie. Większość owych budynków wyglądała jak dawne aśramy, lecz musiały się znajdować wśród nich również mieszkalne havele, z charakterystycznymi małymi dziedzińcami po środku. Częste użycie symboliki religijnej utrudniało w tym wypadku odróżnienie architektury sakralnej od świeckiej. Nad rzeką znaleźliśmy kilka naprawdę ładnych świątyń, niektóre z nich posiadały płaskorzeźby, lub wolnostojące posągi bogów, całkiem udane i pomalowane na jaskrawe barwy, co cechowało również rzeźbę europejską (z drobnymi wyjątkami) przed nastaniem białego neoklasycyzmu doby oświecenia (opartego, jak wiemy, na niesłusznym przekonaniu, iż Starożytni Grecy delectowali się naturalną barwą marmuru).

Wśród przechodniów widziałem coraz więcej hinduskich chłopów, zachowujących się naturalnie, przechodzących przez miasto ze swoimi trzodami, lub towarami. Urocze były placyki, gdzie kręte i wijące się drogi wpływały przed jakąś świątynią, lub zgrupowania budynków. Nie widać było ani ostentacyjnego bogactwa, ani ostentacyjnej nędzy, co czasem się w Indiach zdarza. Zdziwiły mnie kamienne ławki, porozrzucane w różnych częściach miasta, pozwalające usiąść i odpocząć, przynajmniej do momentu, w którym jakaś dopominająca się przysmaku krowa nie obśliniła siedzącego bez reszty. Publiczne ławki, poza Delhi, są w środkowo północnych Indiach rzeczą nieznaną. Oczywiście zdarzały się akcenty wybitnie turystyczne, jak na przykład droga restauracja zachęcająca do swego menu grupą grubych buddo podobnych osobników, siedzących na cokołach i przebranych w barwne stroje, obnażające jednakże imponujące brzuchy i nasycone tłuszczem torsy (mówiąc o podobieństwie do Buddy miałem na myśli chińskie jego przedstawienia, gdzie kulinarna sytość łączy się z rozkoszą nirwany).

Przy głównej drodze, w miejscu gdzie pomiędzy górnym, a

środkowym Rishikeshem nie było zwartej zabudowy, porozstawiali się, jak wszędzie w Indiach, sprzedawcy herbaty, kawy, papierosów, betelu do żucia oraz palonych w ognisku orzeszków ziemnych. Nie było jednakże widać wysoce popularnych gotowanych jajek, co świadczyło o ortodoksyjnie hinduistycznym charakterze miejsca. Spokój zakłócały jedynie dżipy, których kierowcy byli nad wyraz mocno przekonani o posiadaniu pierwszeństwa na drodze. Jako, że w Budda Barze jedzenie nie było w ogóle ostre, poszliśmy do hinduskiej restauracji wypatrzonej poprzednio przez Kaję. Była to typowy indyjski przybytek tego typu, o wydłużonym wnętrzu i nieco brudnych stołach, gdzie potrawy podawano na pociętych już do pewnego stopnia metalowych naczyniach. Rządziły potrawy takie, jak shahi paneer, palak paneer i mutter paneer. Wziąłem tomato paneer, który zachwycał wyrazistym smakiem pomidorowego sosu i bardzo świeżym smakiem indyjskiego białego sera. Jedzenie było ostre, nawet malai kofta, czyli wegetariańskie kotleciki zamówione przez Kaję, parzyły podniebienie. Obok restauracji odkryliśmy wspaniałą księgarnię, gdzie można było nabyć mnóstwo książek na różne tematy, choć na wystawie straszyły jogiczne głupoty dla turystów. Nabyliśmy między innymi słynną książkę o Indiach napisaną przez Nehru w brytyjskim więzieniu, a także niedostępne już nawet w siedzibie wydawnictwa w Delhi dobre książki Davida Kinsleya o indyjskich boginiach. W ręce wpadła nam też ważna pozycja o kulcie Lakshmi, dla wielu wajsznawów ważniejszej od samego Wisznu, choć marginalizowanej przez ich amerykańskie przedłużenie (w myśl zapewne synkretyzmu z amerykańskim protestantyzmem, gdzie rzecz jasna boskość kobieca nie odgrywa żadnej roli). Jak zwykle rozbawił mnie charakter prezentacji książek, gdzie na przestrzeni niewiele większej od przeciętnego pokoju w mieszkaniu, pomieszczono ilość publikacji godną całkiem sporego Empiku. W środkowej części pomieszczenia książki ułożone były na sobie dziesiątkami, zatem wyjęcie pozycji spod spodu zdawało się niemożliwe. Książki przecenione zwalone były w bezwładnym stosie na podłodze. Wiele pozycji było zakurzonych, warstwy kurzu wskazywały zatem na preferencje klientów. „Żydowska joga

na co dzień dla amerykańskich gospodyń domowych” zdecydowanie zwyciężała Mahabharatę swoją wolną od kurzu, błyszczącą okładką. W kącie pomieszczenia stało średnio zakurzone pudełko z profesjonalnym komputerowym programem astrologicznym, bardzo zresztą drogim. Księgarze ucieszyli się naszym wyborem.
(Ciąg dalszy nastąpi...)

Zobacz inne rozdziały Dziennika Indyjskiego – [kliknij tutaj](#)